

KAROL MODZELEWSKI*

Pożegnanie Gerarda Labudy**

Magnificencjo, Szanowni Państwo,

mam poczucie, że my, polscy historycy, żegnamy dziś ostatniego wielkiego pozytywistę. Określając tak Gerarda Labudę, mam na myśli pozytywizm w dwojakim znaczeniu. Przywykliśmy nazywać pozytywizmem nurt dominujący w europejskiej historiografii w XIX, a w znacznej mierze i w XX stuleciu. Dziś narasta wśród nas przekonanie, że zostawiliśmy pozytywizm za plecami. W pewnej mierze jest tak istotnie, ale tym młodym kolegom, którzy dworują sobie z pozytywistycznych poprzedników, warto uprzytomnić, że śmieją się z siebie samych. W całej historiografii, a zwłaszcza w mediewistyce, podstawy warsztatu badawczego, którym się posługujemy, są owocem mrówczej pracy pozytywistów. W doskonaleniu tego warsztatu Gerard Labuda niewiele miał sobie równych. Operował źródłami z zegarmistrzowską, a może raczej jubilerską precyzją i maestrią. To nie jest zdezaktualizowany dorobek. Owszem, przekroczyliśmy filozoficzny horyzont pozytywizmu, ale bez podstaw warsztatowych, które po nim dziedziczymy, byłibyśmy partaczami. Jesteśmy – jeśli wolno posłużyć się renesansową metaforą – karłami, którzy wdrapali się na ramiona olbrzymów. Usadowieni na ich ramionach, widzimy dalej niż oni. Lepiej pozostać w tej uprzywilejowanej poznawczo pozycji, niż zejść na ziemię i gryźć wielkich poprzedników w tyłki. Jesteśmy im winni wdzięczność, a sobie – świadomość, że wywodzimy się od nich.

Gerard Labuda był pozytywistą także w pozanaukowym, swoiście polskim znaczeniu tego słowa. Był człowiekiem pracy organicznej, a nie romantycznego gestu, konspiracji i straceńczego zrywu. Czas okupacji unieważnił ten dylemat, ponieważ hitlerowcy nie zostawili Polakom miejsca na pracę organiczną. Gdy najeźdźca zakazał kształcenia uniwersyteckiego, uczony wierny swemu powołaniu organicznika musiał zostać konspiratorem. Gerard Labuda konspirował zatem na tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, podobnie jak Tadeusz Manteuffel, Aleksander Gieysztor czy Stanisław Herbst – na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Wszyscy oni byli zarazem żołnierzami Armii Krajowej, w związku z czym historykom warszawskim przyszło jeszcze walczyć w powstaniu. Z tego ostatniego doświadczenia pokolenie moich mistrzów wyszło z głębokim przekonaniem, że trzeba uczynić wszystko, co możliwe, by ochronić naród przed powtórzeniem się podobnej tragedii. Postawę ich sformułował dobitnie Tadeusz Manteuffel

* Prof. dr hab. Karol Modzelewski, członek rzeczywisty PAN, wiceprezes PAN

** Przemówienie wygłoszone w trakcie uroczystości żałobnej w Auli UAM dnia 8. X. 2010 r.

w rozmowie z Aleksandrem Gieysztozem w 1945 r.: „Teraz nie będziemy robić żadnej partyzantki, tylko Uniwersytet”. Gerard Labuda był z tego pokolenia i z tego środowiska, i była to także jego dewiza.

Romantyczni bohaterowie ruchu oporu przeistoczyli się zatem w pozytywistów, gdy tylko pojawiła się przestrzeń umożliwiająca pracę organiczną. Dokonali oni tego wyboru w warunkach niewdzięcznych i w sytuacji wieloznacznej. Zamiast walczyć z komunistyczną władzą i z radziecką dominacją, zdecydowali się budować polską naukę i polskie uniwersytety w rządzonej przez komunistów PRL, która była wprawdzie państwem polskim, ale pozostającym w mniej lub bardziej ścisłej zależności wasalnej od ZSRR. Nie jest jasne, co skłoniło polskich komunistów do pozostawienia ważnych, a nawet kluczowych pozycji w uniwersyteckich instytucjach historii, a następnie także w Polskiej Akademii Nauk w rękach uczonych co prawda wybitnych, ale bezpartyjnych, w dodatku wywodzących się z AK. Był to kompromis nierówny, niepisany, bez jakichkolwiek gwarancji dla bezbronnych intelektualistów i na pozór bardzo kruchy; przetrwał on jednak poprzez wszystkie wstrząsy i zawirowania aż do upadku komunizmu.

Nasi mistrzowie zdołali, zwłaszcza po 1956 r., utworzyć i ochronić w polskim szkolnictwie wyższym swego rodzaju niszę ekologiczną – specjalną strefę względnej swobody myśli naukowej i nauczania uniwersyteckiego, która stała się dla współczesnej kultury polskiej źródłem życiodajnych impulsów. Tworzenie, zagospodarowanie i osłona tej enklawy wymagały układania się z władzami PRL, w szczególności zaś z rządzącą partią. Postawa naszych mistrzów w tej dwuznacznej sytuacji nawiązywała wprost do dziewiętnastowiecznych tradycji pracy organicznej. Oni sami uzasadniali potrzebę daleko idących kompromisów w słowach, które budziły nieodparte skojarzenie z retoryką dawnych pozytywistów: mówili, że nakazem naszych czasów jest „ochrona substancji” kultury narodowej, a nie wystawianie jej na ryzyko w ogniu beznadziejnych buntów. Wiedzieli jednak, że na glebie urodzajnej kultury, którą starali się zachować w trudnych czasach, nieuchronnie kiełkują zarodki myśli buntowniczej; starali się więc osłaniać nosicieli tej kiełkującej rewolty i nie dopuścić do wyrugowania buntowników z zawodowej wspólnoty polskich historyków.

Muszę przyznać, że bywaliśmy – my, wówczas młodzi i skłonni do buntu – niesprawiedliwi wobec naszych mistrzów. Wykpiwaliśmy ich ostrożny realizm, dopatrując się w hasła „ochrony substancji” maski zwyczajnego konformizmu. Myliliśmy się. Organiczna praca intelektualistów, którzy doświadczyli narodowej tragedii, przyniosła w czasach Polski Ludowej owoce, bez których nasza dzisiejsza, odzyskana wolność byłaby znacznie uboższa i bardziej krucha. My sami zresztą, podejmujący w PRL działalność opozycyjną, byliśmy częścią owej substancji, którą nasi ostrożni mistrzowie nie bez skutku starali się chronić. Stojąc przy trumnie Gerarda Labudy, mamy istotne powody, by powiedzieć Mu na pożegnanie: „Dziękujemy!”.